

COPYRIGHT © POLITYKA Spółdzielnia Pracy. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów, w tym artykułów na aktualne tematy polityczne, gospodarcze i religijne, opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

TEMATY TYGODNIA

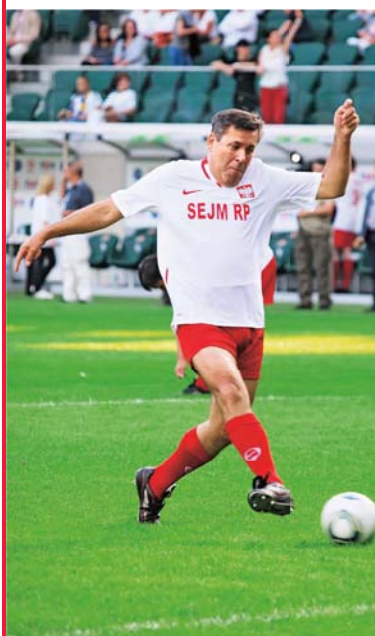
- 10 Janina Paradowska **PSL: koniec ery Pawlaka?**
- 12 Wawrzyniec Smoczyński **Szczyt UE: co nam grozi, jeśli się nie uda**
- POLITYKA**
- 16 Wojciech Szacki **Robert Winnicki, lider Młodzieży Wszechpolskiej: śmiać się czy bać się?**
- 20 Mariusz Janicki, Wiesław Władyka **Kiedy politykom zabraknie inwektyw?**
- 24 Piotr Pytlakowski **Samotność prokuratora Seremeta**
- 28 **OGLĄD I POGLĄD** Jacek Wasilewski **Pieśń tabloidowa**
- KRAJ**
- 30 Joanna Cieśla **Szkoły zawodowe znów wabiają**
Z **Moniką Gąsiorowską**, adwokatką, o niewykonanych wyrokach Trybunału w Strasburgu
- 36 Edyta Gietka **Fryzura dla bezrobotnej**
- 40 Juliusz Ćwieluch **Jak prezydent zdobył czołg**
- RYNEK**
- 42 Ryszarda Socha **Morze dla rybaków i wiatraków**
- 46 Adam Grzeszak **Bieda z biegłym**
- 50 Joanna Solska **Jak działa publiczna służba zdrowia w Europie**
- ŚWIAT**
- 52 Aleksandra Lipczak **HISZPANIA**
Barcelona kontra Madryt
- 56 Łukasz Wójcik **ROSJA**
Rosneft – następca Gazpromu
- HISTORIA**
- 58 Wiesław Władyka **Dmowski – idol młodzieży?**
- 62 Adam Szostkiewicz **Kawalerowie Orderu Złotego Runa**
- NAUKA**
- 64 Rozmowa z **dr Magdaleną Winiarską**, laureatką Nagrody Naukowej POLITYKI, o trudnych poszukiwaniach skutecznego remedium na raka
- 68 Edwin Bendyk **Co z nami będzie za pół wieku**
- 71 **TECHNOECHO**
- 72 Jarosław Marczuk **Uczmy programowania!**
- KULTURA**
- 78 **PASZPORTY POLITYKI** **Nominacje: sztuki wizualne**
- 80 Bartek Chaciński **Jazzowa alternatywa**
- 83 **KAWIARNIA LITERACKA** **Mariusz Sieniewicz**
- 84 Justyna Sobolewska **Warszawa korci pisarzy**
- 86 Dorota Szwarzman **Szkoły muzycznej tresury**
- 88 **MEA PULPA** **Kuby Wojewódzkiego**
- LUDZIE I STYLE**
- 90 Marta Sapała **Asceza na próbę**
- 94 Mariusz Herma **Dlaczego nie mamy polskiej klawiatury**
- 97 Piotr Adamczewski **ZA STOŁEM** **Prostota w kuchni**
- 100 Marek Ostrowski **Afera Petraeusa – tajemnice łóżkowe i państwowe**
- 108 Kuba Dąbrowski **Fotograf Solidarności**

STAŁE RUBRYKI

- 4 Mleczko i Mizerski • 6 Ludzie i wydarzenia
- 74 Afisz • 104 Fusy • 106 Passent • 107 Stomma
- 107 Do i od redakcji • 114 Polityka i obyczaje



12 UE Bunt płatników



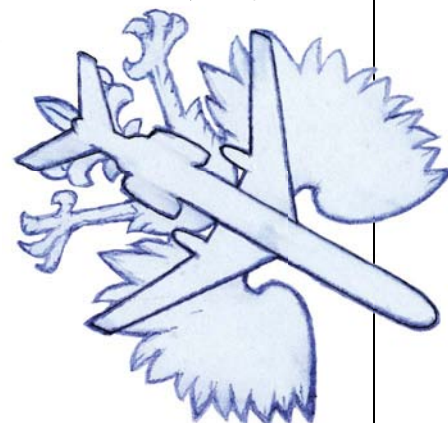
10 PSL: Piechociński kiwał, kiwał i okiwał



108 Kroniki Erazma Ciołka



30 Zawodówki: reaktywacja



20 Wojenne języki polityki



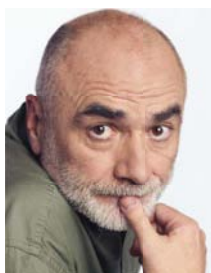
40 Operacja czołg



www.mleczko.pl

GALERIE ANDRZEJA MLECZKI: KRAKÓW, UL. ŚW. JANA 14, WARSZAWA, UL. MARSZAŁKOWSKA 140

sławomir mizerski z życia sfer



felieton

Pokłosie marszu

Film „Pokłosie” wywołał wielkie patriotyczne wzmożenie części społeczeństwa. Ponieważ film ten jest antypolski, aktor Maciej Stuhr, który wziął w nim czynny udział, w niektórych kręgach przestał być uważany za Polaka. Postawa Stuhra budzi w tych kręgach niesmak, bo nie dość, że – jak się okazało – wystąpił on w „Pokłosiu” dobrowolnie i za pieniądze, to teraz, zamiast za to przeprosić, uparcie broni filmu.

Prezes Kaczyński, który „Pokłosia” nie zamierza oglądać, zapowiedział już, że jak dojdzie do władzy, to filmów takich jak „Pokłosie” nie będzie. Ale na razie film ten jeszcze jest i, niestety, dzieli naród. Jedna część narodu twierdzi, że było właśnie tak, jak to przedstawiono w tym filmie, druga twierdzi zaś, że może było, a może nie, dlatego

niczego nie należy przesądzać. Zdaniem tej części dopóki nie ma absolutnie niepodważalnych dowodów na to, że było tak, a nie inaczej, żadnej wersji nie sposób wykluczyć i obie powinny być dalej badane przez komisję złożoną z niezależnych, propolskich historyków z IPN.

Patriotyczne wzmożenie wywołał nie „Pokłosiem” zbiegło się z obchodami Święta Niepodległości. Urządzony z tej okazji marsz okazał się spektakularnym pokazem siły i sprawności organizacyjnej, chociaż do dziś nie wiadomo czyjej. Według jednych, siłę i sprawność organizacyjną pokazała judeosceptyczna prawica, sztykująca się do generalnej rozprawy z polską demokracją. Ale zdaniem innych jeszcze większą siłę i sprawność organizacyjną zademonstrowała policja. Ponieważ obie siły wystąpiły dobrze zamaskowane, nie ma pewności, kto w tym marszu był kim oraz kto go wygrał. Przeważa opinia, że wygrała policja, gdyż zamaskowanych policjantów

było więcej niż zamaskowanych przedstawicieli radykalnej prawicy i to ci policjanci gonili i łapali judeosceptyków, a nie na odwrót. Przewagę policji potwierdzają m.in. organizatorzy marszu i niektórzy politycy PiS, twierdząc, że policjanci ubrani w kominiarki wmaszali się w maszerujący tłum, a następnie w celu zakłócenia marszu sami brutalnie zaatakowali kolegów w mundurach.

W tej sytuacji trudno się dziwić, że to właśnie mundurowi podczas marszu najbardziej ucierpieli. Po drugiej stronie straty były o wiele mniejsze – ucierpiała jedynie pisarka Konopnicka, autorka słów odśpiewanego podczas marszu utworu „Rota” – którą przedstawicielki feministycznej lewicy nazwały lesbijką. Dobrego imienia Konopnickiej musiał osobiście bronić w mediach jeden z organizatorów marszu, były poseł Zawisza, który dał do zrozumienia, że osoby oskarżające wielką pisarkę same są lesbijkami.

Według jednych, siłę i sprawność organizacyjną podczas marszu pokazała judeosceptyczna prawica, według drugich, jeszcze większą siłę i sprawność organizacyjną zademonstrowała policja.

1. W POLSCE I EUROPIE



**RENAULT CLIO DWUKROTNYM
ZDOBYWCĄ ŻŁOTEJ KIEROWNICY**

www.renault.pl



NOWE RENAULT CLIO
ZAPAMIĘTAJZ OD PIERWSZEGO WEJRZENIA. NA ZAWSZE

DRIVE THE CHANGE



NOWE RENAULT CLIO ZDOBYWCĄ ŻŁOTEJ KIEROWNICY W KATEGORII MAŁYCH SAMOCHODÓW, PRZYZNAWANEJ PRZEZ DZIENNIKARZY, CZYTELNIKÓW I EKSPERTÓW 25 EUROPEJSKICH TYTUŁÓW, W TYM „AUTOBILD” I „BILD AM SONNTAG”, ORAZ LAUREATEM ŻŁOTEJ KIEROWNICY W KATEGORII SAMOCHODÓW SEGMENTU B W PLEBISCYIE TYGODNIKA „AUTO ŚWIAT” W ROKU 2012.

Zużycie paliwa w cyklu mieszanym w zależności od wersji wynosi od 3,2 do 5,5 l/100 km, emisja CO₂ od 83 do 127 g/km. Zużycie paliwa i emisja CO₂ określone zgodnie z obowiązującymi wytycznymi. Szczegółowe informacje dotyczące odzysku i recyklingu samochodów wycofanych z eksploatacji na www.renault.pl

Renault załecza **elf**



Uścisk przez druty

Roman Frister

komentarz

W globalnej polityce nie ma żadnego znaczenia, kto i dlaczego rozpoczął zbrojne starcie Strefy Gazy z Izraelem. Również ostateczny wynik walk niewiele zmieni. Nawet jeśli 75 tys. zmobilizowanych przy tej okazji izraelskich żołnierzy przystąpi do naziemnej ofensywy, państwo żydowskie nie zaryzykuje ponownej okupacji Strefy, a Hamas nie przestanie istnieć.

Głównym graczem na tym boisku jest dzisiaj Egipt, pretendujący do roli muzułmańskiego mocarstwa. Mediacja Kairu nie zostałaby, prawdopodobnie, odrzucona ani przez Gazę, ani przez Jerozolimę. Ale prezydent Mohamed Morsi wybrał łatwiejszą drogę: odwołał swego ambasadora w Tel Awiwie. Trudno przypuszczać, by premier Benjamin Netanjahu spędził z tego powodu bezsenność. Gdyby Morsi zagroził rewizją traktatu pokojowego, Jerozolima nie mogłaby pozostać obojętna. Ale muzułmańskie poczucie solidarności nie było dostatecznie silne, aby podjąć ryzyko takiej konfrontacji. Podobnie jak większość arabskich polityków, Mohamed Morsi pozostał w sferze retoryki, która niczego nie wnosi. Pod koniec tygodnia oświadczył, że Bractwo Muzułmańskie w Kairze nie pozostawi swemu losowi Bractwa Muzułmańskiego w Gazie. W pogranicznym miasteczku Rafah pojawił się egipski premier Hiszam Kandil, ucisnął dłoń szefa Hamasu Ismaila Haniji i zostawił mu w prezencie kilka skrzyń leków. Gdyby zamiast tego nakazał otwarcie przejścia granicznego, izolacja Gazy zakończyłaby się raz na zawsze. Ale tego rząd Egiptu nie chce zrobić; w trosce o własne interesy woli ścisnąć dłoń przez drut kolczasty.

Gdy 300 rakiet Fadžr-5 irańskiej produkcji wystrzelonych zostało z Gazy w kierunku Tel Awiwu i Jerozolimy (niemal wszystkie przechwycone przez system obronny „Żelazna Kopuła”), zachodnia opinia publiczna, po raz pierwszy od wielu lat, niemal jednogłośnie poparła państwo żydowskie. Barack Obama oświadczył, że „Izrael ma prawo do samoobrony”. Podobne stanowisko zajęła Unia Europejska. Polska dyplomacja dołączyła swój głos, nawołując do oszczędzania życia cywilnej ludności. Jak to uczynić, tego nikt nie wie ani w Waszyngtonie, ani w Warszawie. Puste deklaracje bez czynów nigdy jeszcze nie uratowały człowieka od śmierci.



© AP/PEAST NEWS

Garnek bez mięsa

Argentyńczycy będą zwolnieni z podatku od tegorocznej „trzynastki”. Prezydent Cristina Fernández wydała w tej sprawie specjalny dekret i chociaż publicznie zaprzecza, to politolodzy komentują, że chce w ten sposób obłaskawić rodaków po niedawnym cacerolazo: demonstracji, na której tłumy wałęsali się z przyniesionymi z domu garnkami. Tydzień wcześniej w całym kraju hałasowały w ten sposób setki tysięcy osób, a manifestacja w Buenos Aires była bodaj największa od 10 lat. Argentyńczycy są wściekli, bo od wielu miesięcy równolegle rosną wskaźniki przestępczości i ceny jedzenia, w tym słynnej miejscowej wołowiny. W dodatku rząd wprowadził niedawno silne ograniczenia w możliwości kupowania dolarów:

wiele osób oszczędzało właśnie w tej walucie, nie dowierając własnej. Oficjalne statystyki mówią o 12-proc. inflacji, ale zdaniem większości ekonomistów jest ona o wiele wyższa. Międzynarodowy Fundusz Walutowy zapowiedział, że jeżeli władze nie podadzą rzeczywistych wyników do grudnia, Argentynę mogą spotkać poważne sankcje.

Protesty są pani prezydent wyjątkowo nie w smak, bo ma wyraźnie ochotę na trzecią kadencję. Co prawda zabrania tego konstytucja, ale rządząca koalicja nieustannie wprowadza drobne zmiany prawne, które w końcu by na to zezwoliły. Ostatnio obniżyła minimalny wiek wyborczy do 16 lat, co opozycja uważa za manipulację przed nadchodzącymi wyborami parlamentarnymi.

Pozegnanie łata

Hiszpanie, Portugalczycy i Grecy walczą z deficytem budżetowym i rekordowo wysokim bezrobociem, strefa euro trzeszczy w szwach, a kraje, które nie przyjęły jeszcze europejskiej waluty, wołają na razie obserwować sytuację z boku i tak jak nowy litewski rząd odkładają plany przejścia na euro o kolejny rok. Łotwa tymczasem idzie pod prąd. Premier Valdis Dombrowski zapowiada, że Łotysze zrezygnują ze swojego łata już 1 stycznia 2014 r. Przekonuje, że łotewska waluta od siedmiu lat jest powiązana z euro i waha-

nia kursu euro-pejskiej waluty i tak odbijają się na łańcu, a dzięki euro Łotwa pobudziłaby handel, zredukowała koszty transakcji, ułatwiła życie zagranicznym inwestorom i usprawniła podróżowanie.

Półowa Łotyszy jest przeciwna. Obawiają się wzrostu cen. Ale już raz, trzy lata temu, kiedy Łotwa stanęła na krawędzi



bankructwa, zaufali Dombrowskiowi i dzięki jego planom oszczędnościowym wyszli na prostą. W 2009 r.

wzrost PKB był ujemny i wyniósł -17,7 proc. Łotwa musiała poprosić MFW o 7,5 mld euro pożyczki. Ale już rok później udało się dojść do poziomu -0,3 proc., a w zeszłym roku łotewski wzrost PKB wyniósł 5,5 proc. Wygląda więc na to, że mimo oporów, Łotwa wkrótce zostanie 18 członkiem strefy euro.

© ECF

Życie po porażce

Porażka w wyborach niczego nie nauczyła Mitta Romneya. Niedawno oświadczył, że prezydent Obama zwyciężył tylko dlatego, że rozdawał prezenty wyborcom. Swoją wypowiedzią potwierdził, że nie ma za grosz wycucia, co wypada, a czego nie wypada mówić politykowi. Republikanie chórem potępili jego kolejną gafę i poradzili mu, żeby taktownie zszedł ze sceny. Nigdy już nie zostanie ich kandydatem do Białego Domu. Ale lista polityków, których kariera w wyścigach prezydenckich zakończyła się po porażce, jest dłuższa.

W 2000 r. Al Gore zdobył nawet więcej głosów bezpośrednich niż George W. Bush i przegrał dopiero głosami elektorskimi, w dodatku po kontrowersyjnej decyzji Sądu Najwyższego, ale i tak demokraci mu podziękowali i Gore musiał wycofać się do sektora prywatnego. Michael Dukakis po przegranej z George'em Bushem seniorem (1988 r.) oddał się działalności akademickiej, a Bob Dole po porażce z Billem Clintonem (1996 r.) zajął się lobbieniem i reklamowaniem w telewizji viagry. Pokonany przez Busha juniora John Kerry także raczej nie wróci jako kandydat, chociaż w drugiej kadencji Obamy może np. zostać szefem Pentagonu. W ostatnim półwieczu jedynym wyjątkiem od reguły był Richard Nixon, który mimo przegranej w 1960 r. z J.F. Kennedym osiem lat później wrócił na scenę i został prezydentem.



© GETTY IMAGES/FPW

Nowy szok naftowy

Do końca dekady Stany Zjednoczone będą największym producentem ropy naftowej, a do końca 2030 r. mogą się stać jej eksporterem, prognozuje Międzynarodowa Agencja Energii (IEA) w najnowszym raporcie Energy Outlook 2012. To efekt rewolucji, jaką wywołały technologie wydobycia niekonwencjonalnych zasobów paliw kopalnych: gazu łupkowego i ropy zaciśniętej. Przy rosnącym globalnym apetycie na energię (jej zużycie wzrośnie do 2035 r. o jedną trzecią, głównie w krajach rozwijających się, z Chinami i Indiami na czele) wzrost samodzielności energetycznej USA zapowiada wielką geopolityczną rozsadę.

Traci uzasadnienie układ zawarty z królem Arabii Saudyjskiej jeszcze przez prezydenta Franklina D. Roosevelta w drodze powrotnej z Jałty, w którym USA zobowiązały się wspierać

Saudów w zamian za gwarancję dostaw strategicznego surowca. Chiny i Indie już rozbudowują floty wojenne, by zapewnić ochronę szlaków morskich. Rosnąca podaż amerykańskiego gazu łupkowego i ropy niekonwencjonalnej osłabia fundament imperialnej strategii Rosji, polegającej na kontroli kurków z bezcennymi surowcami.

Obecny szok energetyczny, przeciwnie do tego z 1973 r., przyczynić się może do ożywienia nie tylko amerykańskiej gospodarki. Nic jednak za darmo. IEA ostrzega, że największym przegrany będzie klimat – powrót paliw kopalnych oznacza zwiększenie emisji gazów cieplarnianych, a także słabsze bodźce dla rozwoju alternatywnych źródeł energii. W rezultacie cel – zatrzymanie wzrostu temperatury atmosfery na poziomie 2 st. C – staje się coraz mniej realny.



© EPA/PAP

Randkujące Chiny

Chińczycy są nie tylko najliczniejszym narodem świata, ale też najczęściej poszukującym miłości: w internetowych serwisach randkowych jest zarejestrowanych aż 180 mln z nich. Potentat tej branży Jiayuan.com radzi sobie tak dobrze, że wyszedł do świata offline i od niedawna urządza prawdziwe randki w ciemno. Boom przeżywa zresztą cała branża miłosna. Rekordy popularności w telewizji bije program „Czas się żenić” o samotnych 30-latkach szukających drugiej połowy, agencjom matrymonialnym rosną obroty, a na tradycyjnym małżeńskim rynku w Szanghaju pojawia się coraz więcej rodziców wychwalających zalety swojego dorosłego, ale samotnego potomstwa.

Wszystko przez tzw. prawo jednego dziecka z 1979 r., które miało uchronić Chiny przed eksplozją demograficzną, a w rzeczywistości doprowadziło do zachwiania proporcji: ze względu na wysokie koszty posagu rodzice wolą męskie potomstwo. Dziś na każde 100 kobiet w Chinach rodzi się więc 120 mężczyzn. Dawniej na dorosłe panny w Chinach mówiło się „niechciane psy”. Dziś chiński Internet podbiła wypowiedź uczestniczki jednego z programów randkowych: „Wolałabym płakać w BMW, niż uśmiechać się na twoim rowerze”.



© CEZARY ASZKIEWICZ/AG

Poprawki do Kodeksu drogowego

Przewodnicząca parlamentarnego zespołu ds. Bezpieczeństwa Ruchu Drogowego Beata Bublewicz w zeszłym tygodniu oddała parlamentarnemu zespołowi rowerowemu propozycję kontrowersyjnych zmian nakazujących rowerzyście zatrzymać się przed samochodem nawet wtedy, gdy na ścieżce rowerowej ma zielone światło. Resztę swoich pomysłów przedstawiła prezydium klubu. Jej zdaniem poprawią bezpieczeństwo na drogach i zmniejszą liczbę śmiertelnych wypadków:

- Wprowadzenie obowiązku przepuszczania przez kierowcę pieszego, który ma zamiar wejść na zebra. Dziś ustawowo przepuścić należy tylko tych, którzy już są na przejściu.
- Podniesienie maksymalnej stawki mandatu z obowiązujących dziś 500 do 1500 zł. Chodzi przede wszystkim o recydywistów. – *Wysokość grzywny za wykroczenia nie była podwyższana od 1998 r., czyli od 14 lat* – mówi Bublewicz.
- Obowiązek zmiany opon z letnich na zimowe.
- Konieczność wyposażenia motocykli w tablice rejestracyjne, które przy próbie zagięcia będą się łamać. Bublewicz mówi, że dziś motocykliści zaginają tablice, żeby utrudnić identyfikację np. przez fotoradary.
- Wprowadzenie obowiązkowych nalepek na samochodach potwierdzających ubezpieczenie OC oraz aktualne badania techniczne pojazdu. – *Szacuje się, że po polskich drogach porusza się bez*

ubezpieczenia OC ok. 200 tys. pojazdów. Brak takiego ubezpieczenia powoduje, że ofiara wypadku ma ogromne trudności w uzyskaniu odszkodowania – mówi Beata Bublewicz.

- Zmniejszenie tolerancji przekraczania prędkości. W zeszłym roku posłowie wprowadzili przepis, że policja wypisuje mandaty dopiero po przekroczeniu ograniczenia prędkości o 10 km. – *Polacy dokładają sobie do tej tolerancji kolejne 10, więc trzeba ten próg tolerancji obniżyć, uwzględniając możliwy błąd pomiaru, np. do 5 km/h* – mówi Bublewicz.
- Podawanie w dowodach osobistych grupy krwi.
- Wprowadzenie do praktycznej części egzaminu na prawo jazdy udzielania pierwszej pomocy na fantomie z użyciem defibrylatora.

Beata Bublewicz czeka teraz, aż prawnicy klubowi zamienią jej propozycje w konkretne przepisy, a prezydium zdecyduje o kolejności ich zgłaszania do łaski marszałkowskiej. Gdy Bublewicz miała 18 lat, jej ojciec, wicemistrz Europy w rajdach samochodowych, zginął w wypadku. – *Przejęłam po ojcu salon i serwis samochodowy oraz pasję do popularyzowania idei bezpieczeństwa w ruchu drogowym* – mówi szefowa parlamentarnego zespołu. Dodaje, że wybudowanie bezpiecznych dróg zajmie nam jeszcze dużo czasu, a wprowadzenie tych przepisów to kwestia kilku miesięcy. **(D.A.)**

Co jeszcze proponuje zespół? – czytaj i komentuj na www.polityka.pl. Zapraszamy też do głosowania nad propozycjami Beaty Bublewicz.

Mniej sztabów

Armia reformuje system dowodzenia. I to gruntownie. Nowa struktura ma być bardziej przejrzysta, mobilna i nowoczesna. Za każdym z tych określeń kryje się nieuchronna redukcja stanowisk sztabowych. Polska armia kurczyła się od lat, a jej system dowodzenia ciągle pęczniał. Trudno się dziwić, że reforma wywoływała w wojsku bardzo dużo emocji i na przesłanie projektu jej założeń do Komitetu Stałego Rady Ministrów trzeba było poczekać aż do zeszłego tygodnia. Dłużej już się nie dało. Reforma powinna wejść w życie przed majem 2013 r., kiedy mija kadencja dotychczasowego szefa Sztabu Generalnego i dowódców rodzajów wojsk. W przeciwnym

razie trzeba by powoływać nowych dowódców, żeby krótko po tym ich zdymisjonować, bo w nowej strukturze dowodzenia zamiast sześciu kluczowych dowódców ma być trzech najważniejszych: szef Sztabu Generalnego, dowódca generalny rodzajów Sił Zbrojnych i dowódca operacyjny rodzajów Sił Zbrojnych. Ciągłe jeszcze trwają ustalenia, który z najważniejszych ma być najważniejszy. Ale wiele wskazuje, że będzie to salomonowemu. W czasie pokoju najważniejszy będzie dowódca operacyjny. A w czasie wojny szef Sztabu Generalnego.

Mniej dowództw oznacza mniej sztabów i mniej zatrudnionych w nich oficerów. I to dużo mniej. Dotychczas w samym tylko Sztabie Generalnym zatrudnionych było 667 oficerów. W Dowództwie Wojsk

Łądowych – 600. W Siłach Powietrznych – 400. 300 u marynarzy i 200 w Dowództwie Wojsk Specjalnych. Po cięciach prawie tysiąc z nich straciłoby posady. Ale nie pracę. Każdy z nich musi dostać propozycję pracy w jednostkach w terenie, gdzie również ma nastąpić konsolidacja dowództw i jednostek. Przy okazji prac nad reformą systemu dowodzenia polskiej armii okazało się, że niemal połowa oficerów zatrudniona w warszawskich centrach dowodzenia to ludzie żyjący na dwa domy. Z wyliczeń wynika, że prawie 1200 oficerów pracuje w Warszawie, a mieszka poza nią. Zgodnie z przepisami należy się im więc miesięczny dodatek „za rozłąkę” w wysokości 414 zł. Ten romantyczny gest kosztuje podatnika co roku ponad 6 mln 259 tys. (J.U.)

Policjanci w kominiarkach

Sporo kontrowersji wzbudziły działania policji podczas zamieszek, do których doszło podczas tegorocznego Marszu Niepodległości. W początkowej fazie przemarszu, kiedy wśród demonstrantów ujawniły się osoby dążące do konfrontacji z policją, ta zastosowała taktykę z powodzeniem wykorzystywaną już podczas tegorocznych rozgrywek Euro 2012. Policjanci w cywilu bądź wyposażeni w elementy policyjnego ekwipunku, z reguły w założonych na twarze zgnioźzielonych lub czarnych kominiarkach, zaczęli wyciągać z tłumu aktywnych uczestników zamieszek. Wielu spośród zatrzymanych także nosiło kominiarki, chcąc chronić twarz przed obiektywem kamery policyjnej czy miejskiego monitoringu. Doszło do dodatkowego zamieszania, bo nie bardzo było wiadomo, kto jest kim i kto rzeczywiście ma prawo stosowania środków przymusu bezpośredniego. A zastosowanie chwytu obywatelskiego (siły fizycznej) przy wyciąganiu z tłumu takim środkiem jest.

Na internetowych stronach Komendy Głównej Policji znajdziemy zarządzenie komendanta głównego nr 1114 z grudnia 2006 r. w sprawie szyków, ugrupowań i przemieszczania oddziałów prewencji

policji, opisujące ich strukturę, wyposażenie, stosowaną taktykę, wydawane przez dowódców komendy i sposób zajmowania miejsca przez policjanta przy formowaniu kordonu. Ale nie ma tam przepisów określających sposób działania funkcjonariuszy policji w cywilu podczas publicznych zgromadzeń, np. kiedy chuligani wywołają zamieszki.

– Nawet jeśli takie przepisy są, a dotyczą działań funkcjonariuszy w cywilu, to mają one charakter niejawnny – przyznaje inspektor Mariusz Sokołowski, rzecznik komendanta głównego. Procedury reagowania policji na różne sytuacje kryzysowe określa zarządzenie komendanta głównego nr 1429 z grudnia 2004 r. Znajdziemy w nim szczegółowo opisane sposoby zachowania policji przy rozwiązywaniu kilkudziesięciu różnych sytuacji kryzysowych – od aktu terroru, uprowadzenia zakładników, powodzi, znalezienia niewybuchu, po ucieczkę więźnia z zakładu karnego. Jest tam też podrozdział „Protesty społeczne”, który ustala policyjne procedury podczas blokady szlaków komunikacyjnych (np. przejścia dla pieszych) oraz podczas okupacji i blokady obiektów administracji publicznej i zakładów pracy. Nie ma tam jednak mowy o zamieszkach podczas imprez

masowych czy zgromadzeń publicznych.

po 11 listopada pojawiły się oskarżenia, także ze strony uczestniczących w marszu postów PiS, o świadome prowokowanie zamieszek przez cywilnych funkcjonariuszy policji w kominiarkach. Byli przez to anonimowi, co dawało im poczucie bezkarności. Oczywiście takie samo poczucie bezkarności mieli chuligani z przysłonionymi twarzami. Kominiarkę łatwo kupić – najtańszą za 6,90 zł, te najlepsze, chroniące twarz m.in. przed wysoką temperaturą (nawet do ok. 400 st. C), z włókna o nazwie nomex, kosztują ponad 100 zł.

Ustawa o umundurowaniu policji nic nie wspomina o kominiarkach. Kwestię ich przydziału dla policjantów z określonych biur i wydziałów określają zarządzenia komendanta głównego. Te przewidują m.in. przydział dwóch kominiarek na osobę dla funkcjonariuszy Centralnego Biura Śledczego i Biura Spraw Wewnętrznych (policji w policji). Jedna przysługuje funkcjonariuszom zajmującym się zabójstwami, przestępczością samochodową, terrorem kryminalnym, a także wywiadomcom i policjantom na misjach zagranicznych. Mają one chronić ich wizerunek, a w przypadku akcji grupy antyterrorystycznej także ich zdrowie.

Legalne zgromadzenie publiczne jest w pełni demokratyczną formą wyrażania obywatelskich

przekonań, nawet niemyłych dla władzy. Organizatorzy zgromadzenia, przedstawiciele urzędu gminy, który wydał na nie zgodę, zaangażowane w jego ochronę siły porządkowe, zarówno wystawione przez organizatora, jak i policję, podejmując interwencję, powinny występować jawnie (co nie umniejsza prawa policji do kierowania w rejon zgromadzenia tajniaków, by ci mogli informować sztab organizacyjny o rozwoju sytuacji, do końca zgromadzenia nie ujawniając swoich związków z policją). To oni powinni obserwować przemarsz i meldować o osobach agresywnie zachowujących się lub wyposażonych w zabronione przedmioty.

Namierzone osoby mogą być też „wyrwane” z tłumu przez policjantów w cywilu, ale z wyraźnymi znakami identyfikacyjnymi lub w towarzystwie policjanta w mundurze, który niejako legitymizuje ich postępowanie wobec wszystkich uczestników demonstracji. I takie sceny można obejrzeć na dostępnych w Internecie filmach z działań brytyjskiej policji, od niedawna stosującej taktykę zwaną *snach squads*, wyłapywania aktywnych uczestników demonstracji przez policyjnych „łapaczy” w cywilu. W Anglii nie zasłaniają oni twarzy.

Zgodnie z polskim prawem nawet nieumundurowany policjant, dokonując zatrzymania obywatela, powinien mu okazać legitymację służbową i na jego żądanie umożliwić odnotowanie zawartych w niej danych. Inspektor Sokołowski zapewnia, że tę część policyjnej procedury podczas ostatnich zajęć wykonywano już po przeciągnięciu delikwenta poza kordon oddziału prewencji. Zakrycie kominiarką twarzy interweniującego policjanta z reguły uniemożliwia pociągnięcie go do odpowiedzialności, jeśli interweniując, naruszy on prawo. Jeśli policji tak zależy na ochronie tożsamości niektórych funkcjonariuszy, to akurat tych w ogóle nie powinno się kierować do akcji, w których mogą zostać zidentyfikowani, choćby po zerwaniu im kominiarki w starciu z demonstrantami.

MAREK HENZLER

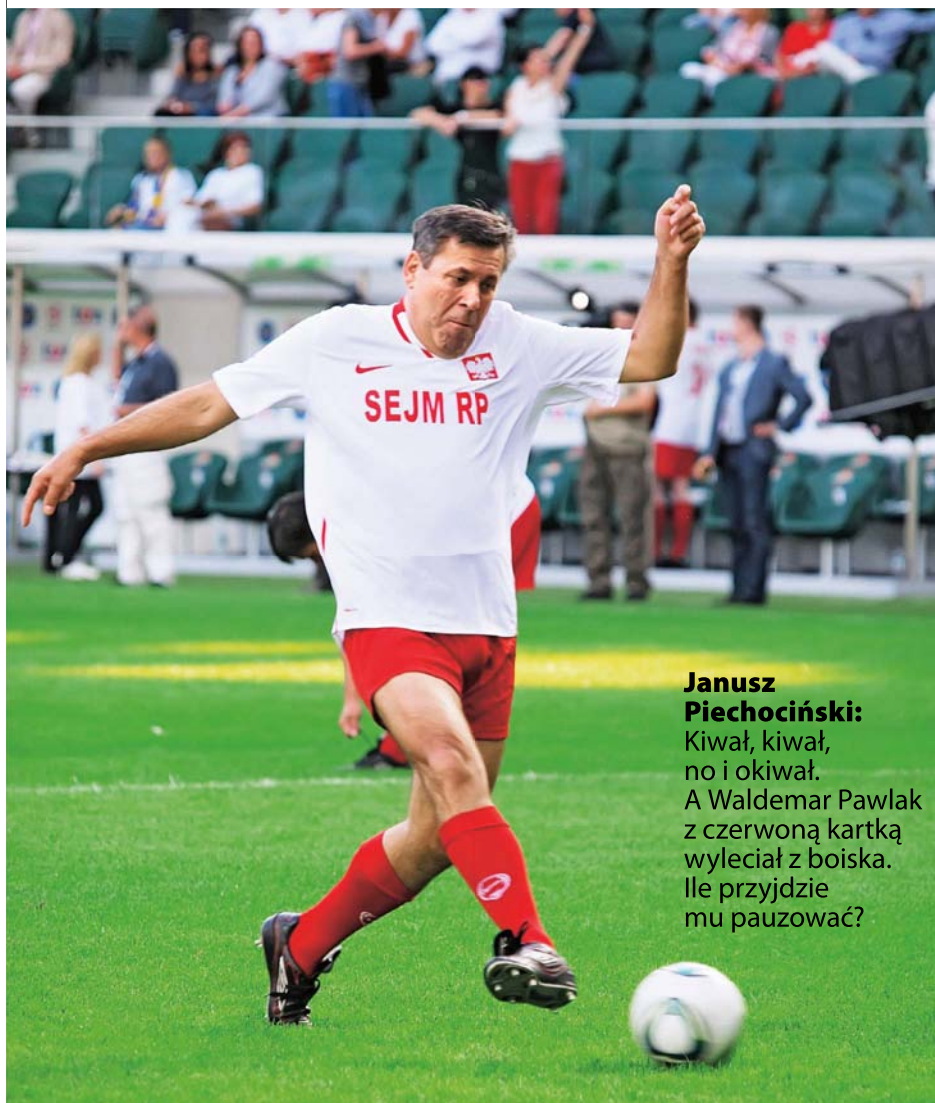
Jan Koza



© JAN KOZA

Czerwona zamiast żółtej

Pozbawiając Waldemara Pawlaka funkcji prezesa partii, ludowcy zaskoczyli wszystkich, także samych siebie. Czy to koniec ery Pawlaka, czy tylko epizod i za kilka miesięcy były prezes powróci?



Janusz Piechociński:
Kiwał, kiwał,
no i okiwał.
A Waldemar Pawlak
z czerwoną kartką
wyleciał z boiska.
Ile przyjdzie
mu pauzować?

© KRZYSZTOF JAROSZ FORUM

JANINA PARADOWSKA

Zdarzyło się w polskiej polityce coś, co nie miało prawa się zdarzyć. Waldemar Pawlak to od siedmiu lat prezes PSL, od pięciu wicepremier i minister gospodarki, wcześniej dwukrotnie premier. Polityk bardzo biegły w wewnątrzpartyjnych układankach. Ten twardy w dążeniu do władzy gracz (być trzy razy premierem jak Witos, to jego nieskrywane marzenie) przegrał na kongresie z politycznym singlem Januszem Piechocińskim. Nowy szef nie miał dotąd ugruntowanego, własnego zaplecza w partii. Wia-

domo tyle, że wspiera go grupa młodych samorządowców. Do tego doszły grupy delegatów, które z różnych powodów zawarły okazjonalny sojusz. W taki wynik głosowania długo nie mógł uwierzyć nikt, łącznie z nowym prezesem, który wprowadził przed wyborami demonstrował pewność, że wygra, ale w gruncie rzeczy wydawał się tak samo zaskoczony jak wszyscy.

Przed kongresem panowało przekonanie, że Waldemar Pawlak wygra wybory, chociaż jego pozycja ulegnie osłabieniu. Stawką nie była więc zmiana prezesa, ale pokazanie mu, że partia czeka na jakieś zmiany, że dotychczasowym liderem jest

już trochę rozczarowana i znużona. Trzeba mu więc pokazać żółtą kartkę. Ważna miała być skala przewagi nad rywalem. Jeżeli Pawlak wygra 70 do 30, to będzie ostrzeżenie, jeśli 60 do 40, to już ostrzeżenie bardzo poważne. Dla Piechocińskiego każdy z tych wyników będzie sukcesem, trzeba mu podziękować, że w ogóle stanął do rywalizacji – protekcyjnie mówiło wielu działaczy. Kiedyś Pawlak musiał prosić Marka Sawickiego, aby wystartował, gdyż statut partii przewiduje, że kandydatów musi być dwóch. Piechociński wydawał się więc rywalem bezpiecznym – nie wygra, ale na pokazanie żółtej kartki wystarczy. Okazało się, że zamiast żółtej wyskoczyła czerwona.

Fakt, PSL pod kierownictwem Pawlaka nie szło od sukcesu do sukcesu. Wynik wyborczy był słabszy od oczekiwanego, sondaże są marne. Zaczęło znikać tak rozpowszechnione wśród ludowców przekonanie, że w wyborach się jednak obronią, bo są silni w terenie, mają rzęszę samorządowców, strażaków; a póki trwają u władzy i tworzą koalicje samorządowe, są w miarę bezpieczni. Pawlak nie mógł już dać gwarancji przeskoczenia progu wyborczego.

Zwycięstwo Piechocińskiego to niewątpliwie także zasługa Marka Sawickiego, którego pozbawiono stanowiska ministra rolnictwa po tak zwanej aferze taśmowej. Sawicki utratę stanowiska przeżył mocno i na dodatek widział, jak wpływy u prezesa zyskuje kompletnie, wydawałoby się, skompromitowany Władysław Serafin, który to nagranie wykonał. Nie tylko Sawickiemu wydawało się to mało przyzwoite. Radość na twarzy byłego ministra rolnictwa po przegranej Pawlaka była zbyt autentyczna, by nie uznać, że do klęski prezesa znacząco przyłożył rękę.

Nie należy jednak lekceważyć pracy, jaką wykonał sam Piechociński, który odwiedził wszystkie powiatowe struktury partii, był na każdym zjeździe, solidnie się napracował, aby pozbyć się etykiety „miejskiego mędrka”, co to wszystko wie lepiej, każdego skrytykuje, ale sam niewiele robi, a już rolnikiem nie jest i nigdy nie był. W wielu środowiskach spodobał się, bo był autentyczny, żywiołowy, był nadzieją na przetrwanie marazmu. Dostał duże oklaski, czasem wręcz owacje, w każdym razie większe niż Pawlak, który kampanię potraktował rutynowo.

Piechociński postawił też na młodych samorządowców, bo dziś wyborca PSL to już nie tylko tradycyjny chłop – ten raczej poszedł do PiS – ale raczej małymmiasteczkowy przedsiębiorca, samorządowiec właśnie, nauczyciel. Obiecywał ponadto, że chce być prezesem w gruncie rzeczy przejściowym i za dwa, trzy lata oddać zmodernizowaną, lepiej zorganizowaną partię w ręce młodych. Mniej uważnie słuchano o tych jego „trzech drużynach” (rządowej, parlamentarnej i partyjnej), o tym, że nie chce wchodzić do rządu, że Pawlak powinien pozostać na dotychczasowych stanowiskach i zająć się gospodarką.

Mało kto zastanawiał się, że w gruncie rzeczy postulat to niebezpieczny, bo prowadzący do dwuwładzy w partii. Nie słuchano Pawlaka, który zapowiadał, że jeśli przegra, natychmiast poda się do dymisji ze stanowisk rządowych. Być może traktowano te zapowiedzi jako przedwyborczy szantaż. To prawda, że po wyborach Pawlak poczuł się urażony, głęboko dotknięty, ale kwestię dymisji miał wcześniej przemyślaną. To nie był emocjonalny gest. Ta zapowiedź wynikała z logiki sytuacji – w koalicji ośrodek kierowniczy tworzą liderzy partii i oni zajmują czołowe pozycje w rządzie, każda inna sytuacja jest sztuczna i prowadzi do konfliktów.

Naturalne jest więc, że teraz wicepremierem i ministrem gospodarki (lub szefem innego ważnego resortu) powinien zostać Janusz Piechociński, zwłaszcza że dobre merytoryczne przygotowanie z pewnością ma. Jest od wielu lat posłem, i to nadzwyczajnie pracowitym, wyspecjalizowanym w kwestiach infrastruktury, ale także szerzej pojętej gospodarki, zna się na kwestiach europejskich. Nie ma natomiast żadnego przygotowania praktycznego. Nigdy nie pełnił funkcji rządowej, nawet starannie ich unikał, nie zna więc od wewnątrz pracy administracji. Czy potrafi podejmować decyzje – nie wiadomo. Większość wątpi, gdyż w partii uchodził raczej za recenzenta cudzych błędów i „narcyza”, podkreślającego swoją wiedzę i umiejętności. Teraz powinien poczuci ciężar odpowiedzialności.

Kongres PSL zmienił przewodniczącego partii, ale wysłał sygnały niejednoznaczne. Przewodniczącym Rady Naczelnej został wskazany przez Pawlaka Jarosław Kalinowski, który przewagę trzech głosów wygrał z kandydatem nowego prezesa Adamem Jarubasem, marszałkiem woj. świętokrzyskiego. Tym samym nowemu prezesowi od razu włączono hamulec, a może nawet pogroźono. To przecież Rada Naczelna dotychczas zmieniała prezesów partii. Kto wie, czy za kilka, kilkanaście miesięcy nie zmieni Piechocińskiego. Pawlak nie odpuści – to opinia większości delegatów, ale

także tych, którzy śledzą jego wieloletnią karierę w polskiej polityce. Nigdy nie odpuszczał. Teraz chęć odwetu będzie większa, bo lata lecą i czasu na powrót ubywa.

Opozycję wewnątrzpartyjną Pawlak ma na kim budować. Podział w PSL jest bardzo głęboki, co pokazały także wybory uzupełniające do Rady Naczelnej. Największą liczbę głosów, ale niewiele ponad połowę delegatów, zdobył w nich minister pracy i polityki społecznej oraz sekretarz generalny partii Władysław Kosiniak-Kamysz, który publicznie, choć z pewną ostrożnością, opowiadał się za Pawlakiem.

Fracja Pawlaka jest więc bardzo silna i bardzo emocjonalnie dotknięta. Wzburzona Ewa Kierzkowska, wiceprezes partii, nie podała nawet nowemu prezesowi ręki. Zagrożony musi się czuć nowy minister rolnictwa, bo tak na dobrą sprawę Sawicki powinien wrócić na swoje miejsce – po prostu był dobry. Klub Parlamentarny stanął w większości za Pawlakiem, a jego szef Jan Bury sam schował własne ambicje, aby wspierać dotychczasowego szefa. Część działaczy zapewne teraz zmieni front, ale część pozostanie przy Pawlaku. W pierwszych wywiadach Piechociński próbuje zacieścić różnice – jesteśmy z Pawlakiem jak dwa czołgi jadące w tym samym kierunku. Czołg Pawlaka zdaje się jednak nadjeżdżać z przeciwka. – Różnimy się fundamentalnie – deklarował były prezes po przegranej.

Wybory zarządu partii, które są planowane za kilka dni, pokażą, czy Piechociński pozostanie samotnym liderem, czy też wprowadzi do ścisłego kierownictwa swoich ludzi, którzy zaczną tę zapowiadaną odnowę partii i polityki w terenie. Okaże się też, czy Marek Sawicki i – jak się wydaje – kluczowy w tym przypadku Stanisław Żelichowski, polityk wyjątkowo doświadczony, szanowany i biegle rozpoznający kulturalowe ludowe nastroje, będą z nowym prezesem ściśle współpracować. Takie wsparcie może przynieść Piechocińskiemu sukces i uczynić jego wybór bardziej odpornym na nieuchronne intrygi stronników Pawlaka. Będzie mu łatwiej, gdyż w przeciwieństwie do swego poprzednika jest otwarty, ma znakomite stosunki z mediami, a jego wybór zrodził autentyczne nadzieje, że jednak w tym skostniałym systemie partyjnym coś się zmienia, że nawet najwięksi pewniacy mogą upaść. PSL niewątpliwie zyskuje więc punkty, może stać się partią bardziej atrakcyjną dla tych, którzy nie chcą tkwić między PiS i PO. To jednak ledwie zarys szansy.

Pozycję lidera PSL buduje jednak przede wszystkim pozycja w rządzie. Taka to już ludowa tradycja, silniejsza niż w innych partiach. „Swój” premier, wicepremier, to dla ludowców zawsze znaczyło coś więcej niż w innych ugru-

powaniach. Nie zostając wicepremierem, Piechociński od razu ustawiłby się w sytuacji prezesa słabego, bo wizerunek PSL nadal kształtowałby Waldemar Pawlak. A Piechociński może być postrzegany jako ktoś, kto ucieka od odpowiedzialności.

Pierwsza opublikowana uchwała kongresu dotyczyła koalicji rządzącej, którą oceniono wysoko. Nikt jej nie będzie zrywał, wydaje się nawet, że taki gest łatwiej wykonałby ciągle coś kalkulujący Pawlak niż Piechociński, który wyraźnie źle się czuje w partyjnych awanturach i sporach. Ale pytania o przyszłość rządu i umowy koalicyjnej muszą stanąć na porządku dnia. Wiele dotychczas mówiono o dobrej chemii między wicepremierem a premierem. Była ona w rzeczywistości coraz gorsza i Tusk mógłby odmianę powitać z pewną ulgą, gdyby nie fakt, że tak naprawdę Piechociński, choć znany, jest w wielkiej polityce kartą jeszcze nieodkrytą. Nie wiadomo, jakim jest negocjatorem, nie wiadomo, jakich rządowych priorytetów oczekuje, czy będzie chciał rozliczać ludzi Pawlaka, bo taka pokusa zawsze się pojawia. Na dobrą sprawę nie wiadomo nawet, z kim się przyjaźni, jakie ma relacje z członkami Platformy Obywatelskiej. Ta wiedza dotychczas nie była nikomu przydatna. Pawlak, ze swoimi wadami i zaletami, był znany i na swój sposób obliczalny. Donald Tusk i Janusz Piechociński będą dopiero testować wzajemną chemię.

Wybór nowego prezesa PSL natychmiast uruchamia falę spekulacji o możliwych rządowych zmianach. Jeżeli Pawlak odejdzie, a Piechociński wytrwa w swoim postanowieniu pozostawania poza rządem, będzie musiał się pojawić ktoś trzeci. Kto? Zapewne sam nowy szef ludowców nie ma jeszcze pojęcia, kto mógłby to być. Czy premier zechce wykorzystać okazję, by odswieżyć przy okazji rząd? Może, choć po wcześniejszych zapowiedziach nie widać powodów do jakichś większych rekonstrukcji. Kluczowe będzie więc, nie kto za kogo, ale jaka nić porozumienia lub nieporozumienia nawiązana zostanie między liderami obu partii.

I jest jeszcze jedna kwestia warta zaważenia. Wokół Waldemara Pawlaka narosło wiele różnych, także złych emocji. Na przykład porozumienie Leszka Millera i Pawlaka było zupełnie niemożliwe, tak splątany był węzeł emocjonalnych zaszłości. Takich barier przy Piechocińskim nie ma i hipotetyczną koalicję trzech partii – przy pogarszającej się sytuacji gospodarczej i narastających radykalizmach – jako rozwiązanie ratunkowe wyobrazić sobie już można. To premierowie stwarza nowe perspektywy. Gotowych scenariuszy nie ma jednak nikt, bo stało się coś, co nie miało prawa się zdarzyć. ■



Bunt płatników

Ten szczyt może wykołować Unię Europejską. Londyn nie chce Wieloletnich Ram Finansowych, a bez nich nie wiadomo, jak dzielić unijne budżety. W Unii kończy się epoka wielkich polityk i wielkich pieniędzy.

WAWRZYNIEC SMOCZYŃSKI

To może być szczyt na trzy koszule – ostrzegali Herman Van Rompuy jeszcze w październiku. Na spotkaniu w Brukseli premierom i prezydentom wystarcza zwykle jedna zmiana koszuli, ale budżetu Unii nie da się uchwalić w jedną noc. Plan czwartkowej Rady Europejskiej jest też inny niż zazwyczaj: przywódcy zjeżdżają do Brukseli rano, przez cały dzień mają tzw. konfesjonały, czyli rozmowy dwustronne z przewodniczącym Rady i między sobą, dopiero wieczorem spotykają się na kolacji i nocnych targach. Van Rompuy zapowiedział, że nie wypuści nikogo, dopóki nie ujrzy kompromisu. Jak na konklawe, mają obradować aż do skutku.

Na kilka dni przed szczytem, zamiast rozumnego kompromisu, kroi się karczemna awantura. Wielka Brytania żąda głębokich cięć w siedmioletnim budżecie Unii, których wprowadzenie oznaczałoby kres wielkich polityk europejskich. Grozi wetem, a jeśli z niego skorzysta, może ośmielić innych płatników netto, którzy niechętnie patrzą na kolejny bilionowy budżet. Unijne dyskusje o pieniądzu są wyniszczające nawet w dobrych czasach, ale te wypadają w najgorszym możliwym momencie: w środku recesji w strefie euro, po trzech latach cięć budżetowych w całej Europie i w czasie powszechnego zwątpienia w Unię.

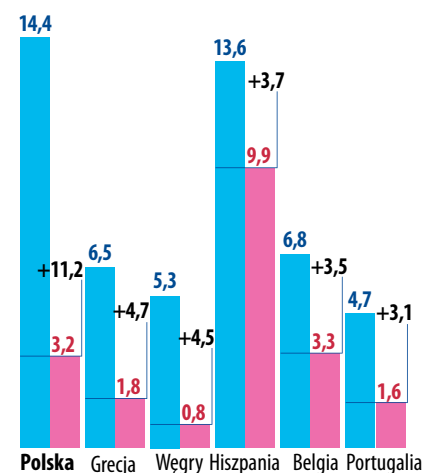
Beneficjenci budżetu jadą do Brukseli z duszą na ramieniu. Nawet w polskich negocjatorów, do niedawna spokojnych

Płatnicy i beneficjenci

18 państw Unii wypłaca z budżetu więcej, niż do niego wpłaca. Pozostałych 9 dokłada do interesu.

■ wypłaty z budżetu UE
■ wpłaty do budżetu UE
— różnica (wypłaty minus wpłaty)

Dane (w mld euro)
na podstawie budżetu z 2011 r.





Kadr z filmu „Asterix i Obelix: W służbie jej królewskiej mości”. Brytowie od wieków bronili się przed wpływami z kontynentu.

więcej do Unii wkładają, niż z niej wyjmują (patrz infografika poniżej). I to oni, płatnicy netto, mają w tych negocjacjach decydujący głos.

Dyskusja o nowych ramach finansowych trwa już półtora roku. W czerwcu 2011 r. unijny komisarz ds. budżetu przedstawił propozycję Komisji Europejskiej. Janusz Lewandowski zawnioskował, by w kolejnej siedmioletce dać Unii 1033 mld euro, czyli po 147 mld na każdy rok. 36 proc. tej kwoty miała pochłoniąć jak zwykle Wspólna Polityka Rolna, a więc dopłaty bezpośrednie i rozwój obszarów wiejskich; kolejne 33 proc. miało powędrować na politykę spójności, czyli zasypywanie różnic między bogatymi a biednymi częściami Europy. 7 proc. zapisano na globalną politykę Unii, 6 proc. na administrację, 2 proc. na bezpieczeństwo.

Gdyby słowo Komisji stało się ciałem, Polska otrzymałaby z Unii ponad 80 mld euro – grubo ponad 300 mld zł, które Lewandowski obiecywał w spotach wyborczych Platformy Obywatelskiej. Ale marzenia Komisji były tylko punktem wyjścia do cięć rządów. We wrześniu Cypryjczycy, którzy przewodniczą pracom Unii, wysłuchali wszystkich państw po kolei i sporządzili na tej podstawie własną wersję ram finansowych. Z propozycji Komisji wycięli 50 mld euro – dziwnym trafem głównie z polityki spójności, oszczędzając za to wspólną politykę rolną. Polska oprotestowała tę propozycję.

Na tydzień przed szczytem nóż przejął Van Rompuy, który będzie też przewodził obradom. Ostateczną propozycję złoży na posiedzeniu Rady, ale już w pierwszym podejściu ściął budżet do 973 mld euro, fedrując po równo z obu wielkich polityk. W jego propozycji Polsce przypadłoby 74 mld euro, czyli ledwo 300 mld zł. Van Rompuy musi ciąć, jeśli nie chce, by szczyt skończył się kłapą, ale jego oszczędności nie sięgają nawet połowy 200 mld, których żąda David Cameron. Próby wyjścia mu naprzeciw nie skłonią go do kompromisu, bo Brytyjczyk dąży do konfrontacji. Cameron

chce pokazać rodakom, że potrafi podpalić Brukselę.

Brytyjczycy żądają cięć, bo sami zaciągają pasa najbardziej w Europie. Tylko w tym roku rząd w Londynie zetnie wydatki o 20 proc., a Cameron tłumaczy, że nie może żądać od obywateli poświęceń w budżecie narodowym i chronić jednocześnie budżet unijny. Na zmęczenie recesją nakłada się definitywna niechęć Brytyjczyków do zjednoczonej Europy – już 56 proc. opowiada się za wyjściem z Unii, tylko 30 proc. chce w niej pozostać. Negocjacje finansowe zawsze były źródłem dodatkowych napięć, ale tym razem w Brukseli ważą się losy nie tylko unijnego budżetu, ale także brytyjskiego premiera.

Cameron jechał na szczyt z postulatem zamrożenia ram finansowych na dotychczasowym poziomie – to Izba Gmin uchwała z 31 października wezwała go, by zażądał w Brukseli cięć budżetowych. Brytyjski premier stracił kontrolę nie tylko nad parlamentem, ale nad własną partią – apel opozycji poparło 50 zbuntowanych posłów Partii Konserwatywnej. Uchwała nie jest wiążąca, ale to kolejny sukces eurosceptycznych torysów, którzy wymusili już na Cameronie obietnicę referendum w sprawie dalszego członkostwa w Unii. Teraz oczekują, że da dowód prawdziwego konserwatyzmu w sprawach europejskich i zawetuje ramy finansowe.

Jeszcze kilka tygodni temu wydawało się, że Cameronowi wystarczy tylko demonstracja. W listopadzie zawetuje ramy, ale w grudniu zaakceptuje kompromis – taki najgorszy scenariusz zakładano w Brukseli. Ale w Londynie nikt nie myśli o zmianie stanowiska, a na gruzach Cameron szykuje kolejne weto, ►

o 300 mld zł w kolejnej siedmioletce, wstąpił niepokój. A co, jeśli nowej siedmioletki w ogóle nie będzie? Nagle widać wyraźnie coś, co wisiało w powietrzu od dawna: epoka wielkich transferów między bogatymi a biednymi dobiega końca, już nie tylko władza, ale i pieniądze ewakuują się z szerokiej wspólnoty do wąskiego centrum Europy. Unia jeszcze się poszerza, ale już się nie pogłębi, tymczasem strefa tworzy własne instytucje i odrębny budżet. Nurt europejskiej rzeki właśnie zawrócił. Szczyt pokaże, dokąd teraz wszyscy płyniemy.

Czwartkowe negocjacje dotyczą tzw. wieloletnich ram finansowych na lata 2014–20. Tak naprawdę przywódcy nie będą klócić się o żaden budżet, tylko o kwotę, jaką Unia będzie mogła wydać w latach 2014–20. Różnica niby techniczna, ale zasadnicza: dziś tych pieniędzy nie ma i nie będzie, dopóki politycy nie ustalą ram. Unia nie zbiera bowiem podatków, nie może też zaciągać długów. Trzy czwarte jej wpływów to składki członkowskie, a klub 27 utrzymuje tak naprawdę 9 najbogatszych państw, które

